

Kocha, lubi, szanuje...

Przed laty, zanim jeszcze pociągi przestały kursować na tyłu trasach lokalnych, kobieta o upstrzonym piegami wysokim czole i kręconych rudych włosach weszła na dworzec kolejowy i zapytała o możliwość nadania mebli.

Zawiadowca stacji lubił przekomarzać się z kobietami, zwłaszcza prostymi, którym zdawało się to sprawiać przyjemność.

– Mebli? – upewnił się, jak gdyby nikt dotąd nie wpadł na podobny pomysł. – Taaak. A co to za meble?

– Stół jadalny i sześć krzeseł. Komplet mebli do sypialni, kanapa, stolik do kawy, szafki nocne, stojąca lampa. A także kredens i komoda.

– Hola, hola. Toż to umeblowanie całego domu.

– Aż tyle tego nie ma – odparła kobieta. – Brakuje wyposażenia kuchni, a mebli starczyłoby ledwie na jeden pokój.

Jej stłoczone z przodu ust zęby nadawały twarzy wyraz gotowości do kłótni.

– Będzie pani potrzebować ciężarówkę – odpowiedział zawiadowca.

– Nie, chcę je nadać pociągiem. Pojadą na zachód, do Saskatchewan.

Przemawiała do niego donośnym głosem, jakby zwracała się do głuchego lub głupca. Poza tym było coś niewłaściwego w jej sposobie wypowiedzenia słów. Akcent. Pomyślał o holenderskim – Holendrzy zaczęli się osiedlać w okolicy – ale kobieta nie miała ciężkiej postury Holenderek ani ich ładnej różowej

cery czy jasnych włosów. Oceniał jej wiek na nie więcej niż czterdzieści lat, ale jakie to miało znaczenie? W każdym razie nie była z niej żadna piękność.

Przybrał rzeczowy ton.

– Najpierw musiałyby pani przywieźć je tu ciężarówką. I trzeba by się upewnić, czy pociąg przejeżdża przez tę miejscowość w Saskatchewan. Bo jak nie, musiałyby pani załatwić dla nich jakiś transport, powiedzmy z Reginy.

– Chodzi o Gdynię – wyjaśniła. – Pociąg przejeżdża przez Gdynię.

Zdjął z gwoźdza poplamiony tłuszczem rozkład jazdy i poprosił o przeliterowanie nazwy. Sięgnęła po ołówek, również zawieszony na sznurku, i napisała na wyjętej z torebki kartce: GDYNIA.

– Z jakiego to może być kraju?

Odpowiedziała, że nie wie.

Wyjął z jej rąk ołówek i wodząc nim wzdłuż linii, stwierdził:

– W tej okolicy jest wiele miejsc, w których mieszkają tylko Czesi, Węgrzy albo Ukraińcy.

Wypowiadając te słowa, uświadomił sobie, że ona mogła być jedną z nich. Ale nawet jeśli tak, to co z tego? Tylko stwierdzał fakt.

– Zgadza się, to tutaj, na trasie.

– Tak – potwierdziła. – Chciałabym nadać je w piątek... Czy to możliwe?

– Możemy je nadać, ale nie mogę powiedzieć, kiedy dotrą na miejsce – zaznaczył. – To zależy od kolejności połączeń. Ktoś będzie na nie czekał?

– Tak.

– W piątek, czternasta osiemnaście, pociąg towarowo-osobowy. Ciężarówka odbierze je rano. Mieszka pani tu, w mieście?

Przytaknęła, zapisując adres. Exhibition Road 106.

Dopiero niedawno domom nadano numery, więc zawiadowcy niewiele to mówiło, choć wiedział, gdzie leży Exhibition Road. Gdyby wspomniała nazwisko McCauley, może okazałoby większe zainteresowanie i wszystko potoczyłoby się inaczej. Przy tej ulicy stały nowe domy, zbudowane po wojnie, a mimo to nazywane „wojennymi”. Uznał, że chodzi o jeden z nich.

– Zapłaci pani przy nadaniu – powiedział.

– Chciałabym też kupić bilet dla siebie na ten pociąg. W piątek po południu.

– Do tej samej miejscowości?

– Tak.

– Dojedzie pani do Toronto, ale tam będzie pani musiała poczekać na transcontinental, dwudziesta druga trzydzieści. Chce pani miejsce sypialne czy siedzące? Można wykupić kuszetkę albo miejsce siedzące w zwykłym przedziale.

Poprosiła o siedzące.

– W Sudbury poczeka pani na pociąg z Montrealu, ale proszę nie wysiadać; wagony zostaną po prostu przetoczone i doczepione do składu montrealskiego. Minie pani Port Arthur, potem Kenorę i dojedzie do Reginy; tam przesiądzie się pani na pociąg lokalny.

Skinęła głową, jakby czekała tylko, aż dostanie bilet.

– Ale nie gwarantuję, że meble dojadą razem z panią – dodał zawiadowca. – Myślę, że raczej dzień albo dwa dni później. To kwestia pierwszeństwa przejazdów. Ktoś po panią wyjdzie?

– Tak.

– To dobrze. Bo to pewnie nawet nie będzie porządną stacją. Tam miasta nie wyglądają tak jak u nas. Zwykle to straszne dziury.

Wyjęła z torebki sakiewkę i zapłaciła banknotem ze schowanego tam rulonu. Jak starsza pani. I przeliczyła resztę. Ale nie tak, jak zrobiłaby starsza kobieta: wyciągnęła otwartą dłoń z bilonem i przeliczyła pospiesznie pieniądze, choć widać było, że nie umknąłby jej nawet pens. Po czym odwróciła się niezbyt uprzejmie, nie żegnając się.

– Do zobaczenia w piątek – krzyknął zawiadowca.

W ten ciepły wrześnieowy dzień miała na sobie długi ponury płaszcz, a także ciężkie sznurowane trzewiki i skarpetki.

Właśnie nalewał sobie kawy z termosu, gdy wróciła i zapukała w okienko.

– Meble, które nadają – oświadczyła – są w bardzo dobrym stanie, prawie nowe. Nie chciałabym, żeby się poobijały czy porysowały. Ani przeszły zapachem bydła.

– Proszę pani – obruszył się – kolej ma dosyć doświadczenia w transporcie towarów. I nie używa tych samych wagonów do przewożenia mebli i zwierząt.

– Zależy mi na tym, by dotarły na miejsce w takim stanie, w jakim wyruszą.

– Kiedy kupuje pani meble, stoją one w sklepie, prawda? Ale zastanawiała się pani kiedykolwiek, jak tam trafiły? Nie zro-

biono ich przecież w sklepie? Nie, wyprodukowano je w jakiejś fabryce, a do sklepu zostały przetransportowane, i to najprawdopodobniej pociągiem. Skoro tak, to czy nie lepiej założyć, że kolej wie, jak się z nimi obchodzić?

Wciąż patrzyła na niego bez uśmiechu lub jakiegokolwiek sygnału, że dostrzega swoją kobiecą naiwność.

– Mam nadzieję – odparła. – Mam nadzieję, że wie.

Zawiadowca był przekonany, że zna w mieście wszystkich. Czyli z połowę mieszkańców. I to tych, którzy naprawdę byli „stąd” – to znaczy nie przybyli dzień wcześniej i nie zamierzali szybko wyjeżdżać. Kobieta, która wybierała się do Saskatchewan, była mu nieznajoma, bo nie chodziła do jego kościoła, nie uczyła jego dzieci ani nie pracowała w sklepie, restauracji czy urzędzie, które odwiedzał. Nie była też zamężna z kimś, kogo by znał z towarzystw Elks, Oddfellows, Lions Club czy ze stowarzyszenia kombatantów Legion. Spojrzenie rzucone na jej lewą dłoń, kiedy wyciągała pieniądze, upewniło go – bo nie można powiedzieć, żeby zaskoczyło – iż nie była mężatką. Z tymi butami, skarpetkami zamiast pończoch, bez kapelusza czy rękawiczek popołudniową porą, mogłaby być chłopką. Ale nie okazywała zwykłej tamtym niepewności czy skrępowania. Nie miała manier wieśniaczki; szczerze mówiąc, nie miała żadnych manier. Potraktowała go, jakby był maszyną do udzielania informacji. A przy tym napisała miejski adres – Exhibition Road. Jeśli kogoś naprawdę mu przypominała, to pewną siostrę bezhabitową, którą kiedyś widział w telewizji: opowiadała o pracy misyjnej gdzieś w dżungli; pewnie nie nosiły tam habitów,

żeby łatwiej było im się ruszać. Siostra uśmiechała się sporadycznie, na dowód, że religia powinna ludzi uszczęśliwiać, ale w zasadzie spoglądała ponad głowami publiczności, jak gdyby była przekonana, że inni istnieją na świecie głównie po to, by ona mogła nimi komenderować.

Johanna chciała załatwić jeszcze jedną rzecz, którą ciągle odkładała na później: pójść do sklepu z konfekcją „U Milady”, by sprawić sobie strój. Nigdy tam jeszcze nie była; gdy potrzebowała czegoś, na przykład skarpetek, szła do „Odzieży Męskiej, Damskiej i Dziecięcej Callaghana”. Miała mnóstwo rzeczy odziedziczonych po pani Willets, jak chociażby ten nieśmiertelny płaszcz. A Sabitha, dziewczynka, którą się zajmowała u pana McCauleya, zasypywana była kosztownymi strojami po kuzynkach.

Na wystawie „U Milady” stały dwa manekiny ubrane w garsonki o dosyć krótkich spódniczkach, z pudełkowymi zakietami. Jedna garsonka była w kolorze rdzawozłotym, druga – ciepłym ciemnozielonym. Wokół nóg manekinów leżały rozrzucone duże liście klonu w jaskrawych barwach. Były też przyklejone tu i ówdzie na szybie. O tej porze roku, kiedy większość ludzi starała się zgrabić liście i je spalić, tutaj stanowiły główną ozdobę. Ukośny napis na szybie, wykaligrafowany czarnym pochyłym pismem, głosił: „Prosta elegancja, moda na jesień”.

Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Przed nią, w pionowym lustrze, ukazało się odbicie jej samej od stóp do głów, w dobrej jakości, jednak bezkształtnym długim płaszczu pani Willets, spod którego ponad skarpetkami wyzierało parę centymetrów gołych masywnych nóg.

Robili to oczywiście naumyślnie. Ustawiali lustro w tym miejscu, żeby człowiek od razu zdał sobie sprawę ze swych braków, a następnie – na to liczyli – wpadł na pomysł kupienia czegoś, by poprawić sobie wygląd. Gdyby nie była zdecydowana coś kupić, wyszłaby, uświadomiwszy sobie tak ewidentny podstęp.

Pod ścianą stał regał z sukniami wieczorowymi, z których każda, ze swoimi muślinami i taftami, w bajecznych kolorach, godna była królowej balu. W głębi, za szkłem, by nie dosięgły ich niczyje niepożądane dłonie, wisiało z pół tuzina sukni ślubnych z nieskazitelnie białego muślinu, kremowej satyny lub koronki w odcieniu kości słoniowej, wyszywanych srebrnymi paciorkami lub maleńkimi perłami. Obcisłe gorsety, wycięte dekolty i sute spódnice. Nawet gdy była młodsza, nie mogła brać pod uwagę takiej ekstrawagancji, nie tylko ze względu na pieniądze, ale dlatego, że nie żywiła absurdalnej nadziei na przemianę, szczęście.

Minęło parę minut, zanim ktoś się pojawił. Może mieli tu juchasz, przez który się jej przyglądali, oceniając, że nie jest ich typem klienta, i czekając, aż odejdzie.

Nie odeszła. Minęła odbicie w lustrze, schodząc z linoleum przy wejściu na miękką wykładzinę, aż zasłona w głębi sklepu wreszcie się rozsunęła i ukazała się Milady we własnej osobie, ubrana w czarną garsonkę z błyszczącymi guzikami. Wysokie obcasy, szczupłe łydki, pas tak ciasny, że jej nylonowe pończochy aż chrzęściły, włosy w odcieniu złota ściągnięte do tyłu, odsłaniające umalowaną twarz.

– Chciałabym przymierzyć garsonkę z wystawy – powiedziała Johanna wyćwiczonym głosem. – Zieloną.